



Henri-Louis Bousсенard

DRAMATY AFRYKI POŁUDNIOWEJ

Trzecia część cyklu „Niebezpieczne Przygody
Trzech Francuzów w Krainie Diamentów”



3

ISBN 978-83-64701-82-5 (całość)

ISBN 978-83-64701-85-6 (część 3)

Louis-Henri Bousсенard

DRAMATY AFRYKI POŁUDNIOWEJ



Louis-Henri Boussenard urodził się w Escrennes 4 października 1847 roku, a zmarł w Orleanie 11 września 1910 roku.

Był autorem powieści przygodowych, a także, podążając śladem Juliusza Verne'a, kilku fantastycznonaukowych. Za życia nadano mu przydomek francuskiego Ridera Haggarda, niezwykle poczytnego w tym czasie angielskiego autora powieści przygodowych. Obecnie jest bardziej znany w Europie Wschodniej niż w krajach frankofońskich (np. w Rosji wydano czterdzieści tomów jego utworów).

Po studiach medycznych poświęcił się pisaniu. Bardzo dużo podróżował po francuskich koloniach, zwłaszcza w Afryce. W tym czasie rząd francuski powierzył mu misję naukową w Gujanie. Podczas wojny francusko-pruskiej w 1870 roku szybko został ranny i tym przykrym doświadczeniem można tłumaczyć mocno nacjonalistyczne poglądy, którym dał wyraz w kilku swoich powieściach. Miał także negatywny stosunek do Anglików i Amerykanów, co wyjaśnia, dlaczego tak mało jego utworów przełożono na język angielski.

Jego opowiadania i powieści ukazywały się w licznych czasopismach, takich jak „Le Figaro”, „Le Petit Prisien”, czy „Journal des voyages”.

Bohaterowie jego powieści podróżują po całym świecie, są wystawiani na wszelkie niebezpieczeństwa, ale zawsze triumfuje dobro, a źli ludzie zostają ukarani.

Boussenard napisał bardzo dużo powieści, z których większość można ująć w cykle. Do najbardziej znanych należą: „Saga Friqueta (Wróbelka)” o przygodach paryskiego urwisa, cykl liczący 20 tomów (w Polsce ukazały się dwa pierwsze tomy: *W niewoli u ludożerców* i *Korsarze mórz południowych*); „Robinsonowie z Gujany”, liczący 9 tomów (w Polsce *Galernicy Gujany*, obejmujący dwa pierwsze tomy); „Bez Grosza”, liczący 5 tomów (w Polsce *Dusiele w Bengalu*, drugi tom cyklu); „Lodowe piekło”, zawierający 6 tomów (w Polsce: *Piekło wśród lodów* i *Kapitan Łamigłowa*); „Tajemnice Pana Syntezy”, liczący 4 tomy (w Polsce dwa tomy: *Tajemnica doktora Syntese* i *Niezwykła podróż doktora Syntese*), czy wreszcie cykl „Niebezpieczne Przygody Trzech Francuzów w Krainie Diamentów”, składający się z 3 tomów.

Louis-Henri Bousсенard



DRAMATY AFRYKI POŁUDNIOWEJ

Trzecia część cyklu

Niebezpieczne Przygody Trzech Francuzów w Krainie Diamentów

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

Dwudziesta ósma publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Trzeci tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuły oryginału francuskiego: *Les drames de l'Afrique Australe*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2015

26 ilustracji, w tym 2 kolorowe: Jules-Descartes Férat
(zaczerpnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)
Ilustracje na okładce i w tekście podkolorowała Barbara Linda

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2016

ISBN 978-83-64701-82-5 (całość)
ISBN 978-83-64701-85-6 (część trzecia)

Rozdział I

Podczas wylewu – Wielebny traci cały prestiż – Pieter nie ufa ludziom, którzy umieją czytać – Oslupienie trzech łotrzyków – Straszny pięściarz – Burowie pobici jak nigdy dotąd – Jak nieznajomy uzdrawiał omdlenia – Cornelis i Pieter mają nowego pana – Alarm – Znowu Sam Smith, buszrendżer – Ponura historia bandyty – Denuncjacja – Zapłata pięćdziesięcioma uderzeniami bata – Jak słoń mści się na krokodylu – Tortury wielebnego – Tajemnice



– Podłóż do ognia, Pieter, przemarzłem do szpiku kości.
– Faktycznie, ten nagły wylew, który nastąpił po burzy, niezwykle orzeźwił atmosferę.
– Brr...! Jeżeli, jak powiadają filuci z Vaalu, Holendrzy, nasi ojcowie, przez sześć miesięcy w roku mają podobną temperaturę, sto razy wolę kolonię od metropolii.

– Masz rację, Cornelis. Przelknąłbym jak maślanekę pintę¹ wrzącej *cape brandy*².

Pieter mrużąc, kaszląc jak wół dotknięty zapaleniem płuc panującym w tym regionie, powstał, wziął ogromne naręcze akacjowych gałęzi odłożonych na bok jako zapas na noc i rzucił w ognisko. Kolczaste kawałki nasycone gumą głośno trzasnęły i ukazały się długie języki płomieni, które rozproszyły ciemności.

– Ależ sprowadzicie na nas wszystkich tych czarnych i białych łajdaków włóczących się po okolicy! – wykrzyknął gniewnym głosem wielebny, który zawinięty w swój surdut zdawał się nie odczuwać wilgotnego chłodu pokrywającego wszystko jak olbrzymi lodowy całun.

– Chciałbym wiedzieć, jak i z której strony moglibyśmy zostać zaskoczeni – odparł swoim mrukliwym tonem Cornelis. – Dość drogo płacimy za tę korzyść, ponieważ przez ciebie znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Głupio zrobiliśmy, towarzysząc ci na tym pasie ziemi, gdzie miałeś znaleźć punkt wyjścia wskazany na twoim sławetnym planie. Niczego takiego nie znalazłeś, a w tym czasie wody zalały drogę łączącą półwysep z wybrzeżem i w ten sposób zostaliśmy pięknie i gruntownie uwięzieni aż do końca powodzi.

– Czy to mój błąd, że zniknęła jedna z trzech akacji oznaczonych na mapce przez tego przekłętą misjonarza?! Chciwość czyni was głupcami. Zamiast oskarżać mnie jak uparte

¹ *Pinta* (półkwarta) – jednostka objętości lub pojemności stosowana głównie w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii oraz Irlandii; pinta angielska ma 0,568 l, pinta amerykańska – 0,473 l.

² *Cape brandy* – wódka z Przylądka; *brandy* (ang. – wypalanka) – angielskie określenie napojów alkoholowych destylowanych z win, głównie gronowych.

dzieci, lepiej zrobilibyście, poszukując sposobów na wydostanie się stąd, byśmy mogli, jak tylko wstanie dzień, kontynuować nasze poszukiwania.

– Spokój, stary szelmo! Nie zamierzamy słuchać ani twoich rad, ani też nagan. Nie musisz kopać po kieszeni, w której trzymasz rewolwer. Zanim zdołasz wykonać najmniejszy podejrzany ruch, wiedz, że posłę cię tam, byś dotrzymał towarzystwa aligatorom, które kręcą się po okolicy.

– Ty...!

– Tak, ja... Do diabła, naprawdę nie wiem, co mnie powstrzymuje, kiedy pomyślę, że byłem na tyle głupi, by dawać wiarę wszystkim twoim banialukom i wierzyć, że ta szmata, którą skrywasz jak jakąś relikwię, mogłaby przynieść nam bogactwo, za którym podążamy.

– Cornelis ma rację – dodał Pieter. – Wy, Europejczycy, myślicie tylko, jak pohandlować naszą skórą, jak nas ograbić i jak w podzięce nałożyć na nas okup. Poza tym nie ufam ludziom, którzy umieją czytać.

– To prawda – wtrącił się Cornelis. – Powiedz nam, do czego służą te wszystkie czarodziejskie księgi, kiedy posiada się parę silnych rąk i nóg osadzonych na takich kadłubach jak nasze...

– Umysł wolny od uprzedzeń i niezawodny wzrok pozwalający dobrze wystrzelić kulkę z roër³...

– ...I ręce podnoszące jak słomkę trzydziestofuntowy topór.

– Pomówmy o Klaasie. To junak, który dobrze rozumie życie.

– Zamiast podburzać nas przeciw niemu i osłabiać nasze siły, siejąc między nami niezgodę, czy nie mądrzej byłoby się z nim pogodzić...?

Wielebny z całkowitą beztróską przyjmował wyrzuty dochodzące z obu stron. Spoglądał tylko na swych rozmówców swymi niebieskimi, stalowymi oczyma i wydawał się przygotowywać jadowitą odpowiedź.

Wielki wybuch śmiechu, jaki rozległ się za jego plecami, jak nożem uciął zatrzymał w jego gardle przemówienie, którym zamierzał porazić dwóch buntowników.

Gwałtowne najście gromady Murzynów albo nagły atak dzikich zwierząt spowodowały, że natychmiast zerwały się do obrony, podczas gdy w tym miejscu i tej chwili wybuch wesołości sprawił, że ogarnęło ich dziwaczne osłupienie. Zwłaszcza Burowie, mając w sobie tyle z ludzi cywilizowanych, co w naskórku, żyjący z ojca na syna pośród niesamowitych zabobonów, mocno wierzyli w interwencje nadprzyrodzonych sił. Bo też jaki człowiek mógł być na tyle zuchwały, by odważyć się śmiać w obecności dwóch straszliwych bandytów, przed którymi drżeli w tym kraju wszyscy awanturnicy. Tymczasem wielebnym, któremu takie dziecinady nawet nie przyszły na myśl, wstrząsnęło złowróżbne przeczucie i być może pierwszy raz w życiu poczuł, że ogarnia go strach, któremu starał się przeciwstawić.

Nie było już na to czasu.

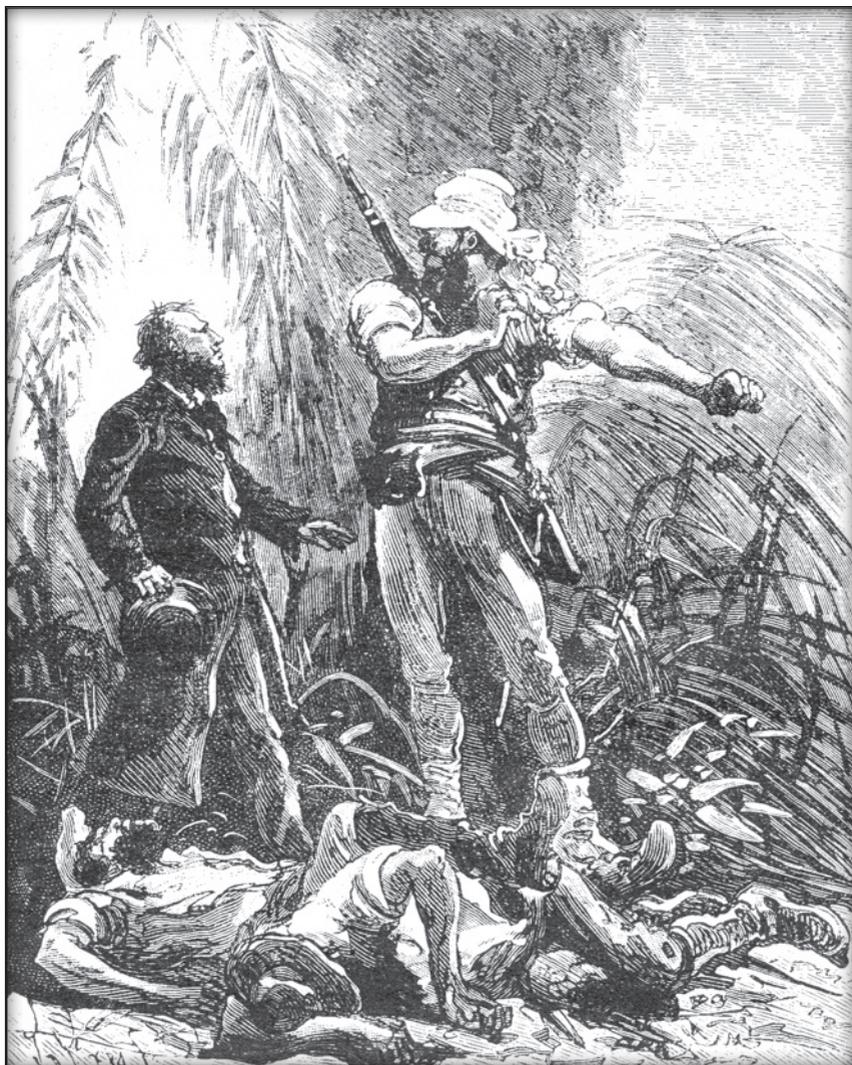
Nagle śmiech ustał. Pod lekkimi krokami zatrzeszczało kilka gałązek i w pełnym świetle ogniska ukazał się wysoki mężczyzna ubrany po europejsku, z ciężkim karabinem przewieszonym przez ramię. Należy oddać sprawiedliwość Burom, którzy widząc, że zjawia ma ciało i pokazała się pod ludzką postacią, skoczyli jakby popchnięci przez sprężynę i dostrzegłszy, że mają do czynienia z jednym osobnikiem, porzucili myśl o użyciu broni. Ich ciężkie ręce spadły na ramiona przybysza. Spodziewali się, że zobaczą, jak łamie się niby trzcina, wbrew swej barczystej posturze wskazującej na niezwykłą siłę.

³ Roër – holenderska fuzja o nadmiernie długiej lufie, używana przez kolonistów z Transwalu i Wolnych Stanów Oranii.

Rzeczywiście, Cornelis chwalił się tym, że chwyciwszy jedną ręką wołu za róg, potrafił go powalić na ziemię, a Pieter umiał zatrzymać trzyletniego żrebaka w biegu, chwytając go za tylne nogi.

Jednak nieznamy oparł się jak żelazny słup. Biali dzicy przez chwilę ukazali głupie zdziwienie, a ich umysły, będące jeszcze pod niedawnym wrażeniem spowodowanym wybuchem śmiechu, znowu skierowały się ku myślom o ponadnaturalnych siłach.

Był to jednak na pewno człowiek z krwi i z kości. Cornelis i Pieter bez chwili namysłu ponowili próbę. Nieznajomy swobodnie, nie okazując żadnego większego wysiłku, uwolnił się od tego podwójnego uścisku, ustawił obie zgięte ręce przed piersią i w mgnieniu oka przyjął nienaganną postawę boksera.



Po chwili jego pięści, wypchnięte jak mechaniczne młoty, wystrzeliły do przodu i uderzyły wycuczonymi ciosami. Cornelis, trafiony w brzuch, wykrzyknął „Au...!”, rozłożył ramiona i z hałasem sflaczałego ciała zwałił się jak długi na ziemię.

– Ten był jednooki... więc nie chciałem go oslepić... – szepnął pięściarz.

Pieter chciał zrobić gwałtowny unik, ale nie starczyło mu na to czasu. Uderzony jak maczugą w środek czoła, ugiął kolana, wydał chrapliwy okrzyk i zwałił się w poprzek na ciało starszego brata.

Osobnik, który z taką zręcznością dokonał tego dzieła, przez chwilę wpatrywał się w malownicze poplątanie kadłubów i kończyn, a następnie, zdając się nie dostrzegać obecności wielebnego, który z przerażenia szcząkał zębami, powiedział:

– Oto piękne podwójne uderzenie, które zachwyciłoby Williama Harrissona, mego pierwszego profesora, gdyby ten zacny człowiek nie otrzymał w więzieniu Newgate⁴ ostatniej posługi udzielonej mu przez starego Calcrafta⁵.

Usłyszawszy nazwisko Williama Harrissona, wielebny podskoczył, jakby dostał kulę prosto w serce. Podbiegł do nieznanego i jękając się, zawołał zduszonym głosem:

– Powiedział pan... William... Harrisson...?!

– Milcz, łotrze! – rzucił twardym głosem osiłek. – Będziesz mówił w odpowiedniej porze... kiedy ja będę cię pytał. Oddaj broń... szybciej...

Przerażony wielebny podał mu rewolwer.

– Dobrze, ale to nie wszystko. Potrzebuję jeszcze ten plan, o którym przed chwilą mówiłeś.

– Ale... – chciał zaprotestować nędznik, którego zimna odwaga ustąpiła miejsca niewytłumaczalnemu osłabieniu woli.

– Jeszcze raz powtarzam ci: milcz! Szybko załatwmy sprawę. Nigdy dwa razy nie powtarzam rozkazu.

Łotr, trzęsąc się, wykonał polecenie.

– Wystarczy... przynajmniej na ten czas.

Potem, widząc że Burowie leżą nieruchomi jak trupy, dodał:

– Trzeba tym dwom gburom, którzy leżą tam jak cielęta, przywrócić przytomność.

A ponieważ wielebny stał jak ośupiały, dorzucił:

– Dalej! Są na to sposoby. Przecież znasz postępowanie złodziei złota. Najprostszy środek jest najbardziej skuteczny. Do licha! Chyba nie są martwi... Kiedy chcę, to nie zabijam uderzeniem pięści... Rozepnij im kurtki i koszule... Odsłoń piersi... Podaj mi z ogniska solidną głownię... Oprzyj ją mocno o ciało, niech im osmali skórę...

Pod wpływem ognia skóra zaskwierczała i w powietrzu rozniósł się wstrętny zapach spalonego ciała. Cornelis i Pieter, nagle przywróceni do życia przez ten niesłychanie brutalny środek, zaczęli wyć jak opętani.

– Właśnie tak jest dobrze – stwierdził bokser, śmiejąc się drwiąco. – Ej! Wstawajcie! Zróbcie mi tę łaskę i przestańcie tak wyć, gdyż ponownie dwoma uderzeniami pięści zaknebluję wam usta.

Cornelis i Pieter, poskromieni po raz pierwszy w życiu, słysząc rozkazujący ton, prze-mogli okrutny ból spowodowany użyciem głowni i nagle zamilkli. Wypadki potoczyły się

⁴ *Więzenie Newgate* – największe więzienie w Londynie.

⁵ *William Calcraft* (1800-1879) – angielski kat, jeden z najbardziej aktywnych brytyjskich oprawców; szacuje się, że w swojej czterdziestopięcioletniej karierze przeprowadził 450 egzekucji.

z taką szybkością, a podwójne ciosy były tak straszliwe, że ich mózgi niczego nie pojmowały i tylko zaledwie mogli oddychać.

Powoli dochodzili do siebie, ogłupiałym spojrzeniem rozglądając się dookoła przy świetle ogniska. Następnie ciężko usiedli, chwycąc się jak pijacy.

– Daję słowo, wydaje mi się, jakby kopnął mnie Kleinboy... mój srokaty koń – mruknął Cornelis.

– A ja jestem zdolny uwierzyć – wybełkotał Pieter – że na moją głowę zważyło się stustopowe drzewo...

– To tylko zwykłe uderzenia pięścią, jakie zadał wam unizony sługa – stwierdził drwiącym głosem straszliwy nieznajomy. – Dalej, wstawajcie, towarzysze, mamy do pogadania. Żeby jednak nie naszała was pokusa wyciągać łapy po wasze zacne strzelby, gdyż wówczas zostanę zmuszony, by każdy z was połknął zawartość jednej z luf mego karabinu.

Burowie, upokorzeni i bardziej niż kiedykolwiek speszeni pewnością nieznajomego popartą straszliwą siłą, podnosili się niezręcznymi ruchami jak konie, które zwały się na ziemię między dyszlami zaprzęgu.

– Teraz mnie posłuchajcie. To naturalne, że od tej chwili jesteście zupełnie zależni od mej woli. Czyż nie tak? Przyszedłem dać wam próbkę, zresztą bardzo słabą, moich umiejętności. Moje postępowanie, muszę to przyznać, było może nieco zbyt brutalne, ale nie miałem innego wyboru. Poza tym użyłem takiego środka, ponieważ tak mi się spodobało, a przy tym był lepszy niż długie rozmowy, by dotrzeć do waszych mózgownic.

Cornelis i Pieter mruknęli coś, co od biedy mogło ująć za przyzwolenie.

– Ja tu rozkazuję i będziecie mnie słuchali bez żadnych komentarzy, ponieważ jestem najsilniejszy, jak również najinteligentniejszy. Będziecie należeć do mnie duchem i ciałem przez cały czas, którego trwanie będzie zależne od samych wydarzeń, co jednak nie powinno trwać długo. Wasze życie, a jeszcze bardziej wasze interesy gwarantują mi, że będziecie mi wierni, gdyż moim zamiarem jest uczynić was takimi bogaczami, za jakich nigdy nie ośmieliliście się uważać, nawet w marzeniach.

Po tych ostatnich słowach dzikie oblicza obu nieokrzesaneńców się wygładziły, a Pieter, wbrew niebieskawemu siniakowi, który pokrywał jego twarz, jakby się nawet uśmiechnął.

– Można się z panem porozumieć, dżentelmenie, bo chociaż jesteś może zbyt gwałtowny, to przemawiasz złotem.

– Chciałeś powiedzieć: diamentami, mój towarzyszu.

– Zaspokój moją ciekawość. Czy także myślisz o zdobyciu skarbu kafryjskich królów?

Ta krasomówcza ostrożność poprzedzająca właściwe pytanie wskazywała, że Pieter stał się bardziej cywilizowany.

– Tak bardzo o tym myślę – odpowiedział nieznajomy z rodzajem wyniosłej pobłaźliwości w głosie – że przydzielam was sobie do pomocy, by wyruszyć na poszukiwanie skarbu. Będziecie moimi porucznikami i podzielę się z wami według waszych zasług, jak również według mojej dobrej woli. Och! Możecie wierzyć w moją szlachetność. Jakikolwiek mogłyby być wasze żądania, one jeszcze zostaną podwyższone.

– Ech, dobrze! Zgoda na to! – zawołali dwaj olbrzymi, podchodząc z wyciągniętymi dłońmi.

– Opuście łapy, chłopcy! – powiedział ostrym tonem ich rozmówca. – Nie lubię poufałości.

W tej chwili za cienką zasłoną zieleni odgraniczającą wysepkę od strony rzeki rozległ się plusk.

Nieznajomy uważnie nastawił uszu na ten nieoczekiwany dźwięk i na próżno starał się odgadnąć jego przyczynę.

– To ciebie zwą Pieter, nieprawdaż? – powiedział do Bura ze szramą na głowie.

– Tak, dżentelmenie.

– Weź waszą rōr, podejdź ostrożnie do brzegu i dokładnie rozejrzyj się po okolicy. Jeśli dostrzeżesz coś podejrzanego, strzelaj i natychmiast się wycofaj. To byłoby zbyt absurdalne, by pozwolić dać się zaskoczyć, jak przed chwilą mnie się to udało. Ale, ale, piroga, którą tu przy płynąłem, jest uwiązana po drugiej stronie korzenia drzewa. Zobacz, czy ciągle jest na swoim miejscu. Ruszaj...!

Pieter, jeszcze ciągle zdreptał, chwycił swoją fuzję, uzbroił ją, opierając palec na cynglu, by uniknąć trzasku panewki, i zniknął pośród zielonego listowia.

Powrócił po kwadransie i zobaczył Cornelisa stojącego blisko ich nowego przywódcy, podczas gdy wielebny, leżący na ziemi, rzucał na wszystkie strony spojrzenie wilka złapanego w pułapkę.

– Wszystko w porządku, dżentelmenie. Piroga znajduje się we wskazanym miejscu. Jeśli chodzi o hałas, który usłyszeliśmy, to przypisuję go dwom kajmanom, które podpłynęły blisko mułowej ławicy. Gdy mnie dostrzegły, wycofały się.

– Dobrze. Trzeba koniecznie uważać na te wścibskie kajmany. Przed chwilą mówiłem wam, że niedługo zawładniemy skarbem, który podzielimy na trzy części.

– Wasza wysokość chciał powiedzieć: cztery... to znaczy więcej.

– Moja wysokość powiedział trzy i tak chciał powiedzieć. Mój oddziałek składa się z trzech ludzi. Jest tu ktoś, kto nie zostanie uwzględniony przy podziale.

Fałszywy misjonarz gwałtownie podniósł głowę.

– To ten osobnik, którego znacie jako wielebnego, chociaż posiada inne nazwisko... czyż nie tak, Jamesie Willis?

– Łaski...! Wybaczcie! Samie, niech mnie pan nie zabija!

– Milcz, kiedy ja mówię! Nie rozpoznałeś mnie, kiedy ostatnio przewoziłem cię z towarzyszem na wysepkę przy wielkim wodospadzie. Co prawda bardzo starałem się ukrywać swoją twarz. Zastanawiałem się przez chwilę, czy natychmiast nie roztrzaskać ci łąba. Zawahałem się, wierząc, że później cię znajdę. Zresztą dobrze zrobiłem, ponieważ przed chwilą mogłem odebrać ci plan, który tak starannie skrywałeś i dzięki któremu na pewno zdołam odnaleźć skarb.

– Jak to: ma pan plan, dżentelmenie?! – wykrzyknął zupełnie zaskoczony Cornelis. – Więc wasza wysokość umie czytać?

– Cornelisie, mój chłopcze, masz jakąś manię zadawania pytań. Trzeba będzie coś u ciebie skorygować, gdyż bardzo tego nie lubię. Jeżeli widzisz tylko na jedno oko, to szeroko otwórz uszy i uważnie posłuchaj, co teraz powiem. Tak, do licha! Mam plan angielskiego misjonarza. Wcale nie było trudno się dowiedzieć, że ten szelma trzyma go w kieszeni, w chwili bowiem mego przybycia wrzeszczeliście jak bąki⁶. Wielce zyskałem na tej niedyskrecji, która jest niewybaczalna u takich ludzi jak wy, którzy zjedliście zęby na awanturniczym życiu. Chłopcy, jeszcze raz powtarzam: słuchajcie mnie i nie przerywajcie. A teraz twoja kolej, Jamesie Willis. Wszak jesteśmy starymi znajomymi, czyż nie?

⁶ Bąk zwyczajny (*Botaurus stellaris*) – gatunek dużego wędrownego ptaka wodnego z rodziny czaplowatych (*Ardeidae*), zamieszkujący północną część Eurazji i Afrykę Południową; żywi się płazami i rybami oraz innymi zwierzętami wodnymi.

Zapewne przypominasz sobie dzień, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Byłem marynarzem na kliprze⁷ „Adelaide”, który rozbił się na podwodnych skałach w Cieśninie Torresa⁸. Wojenny okręt noszący holenderską banderę podniósł na swój pokład trzech pozostałych przy życiu, którzy umierali z głodu na samotnej rafie. Byłem jednym z nich. Często zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej, gdyby moje wysuszone kości zdobiły teraz skały, ponieważ od tamtej chwili prowadziłem dziwne i jednocześnie straszne życie. Ale po co się skarżyć? Co było, to już się nie odstanie. Ci, którzy nas uratowali, byli po prostu piratami rabującymi na własny rachunek przy australijskich wybrzeżach. Ty najlepiej o tym wiesz, gdyż byłeś jednym ze współników tego towarzystwa. Och! W żaden sposób nie zrzucam na ciebie, że chcąc nie chcąc, starałeś się zwerbować mnie do twoich korsarzy. Byłem panem swojej woli, mogłem odmówić i pozostać na rafie. Ale byłem młody, kurczowo trzymałem się życia... a potem narodziłem się na nowo, pozbywszy się uprzedzeń, co czyniło ze mnie Sama Smitha, buszrendżera⁹.

Słyszając to nazwisko, którego tak się obawiano, obaj Burowie nagle zadrżeli.

– Dżentelmenie, jedno słowo... – powiedział nieśmiało Cornelis.

Smith zezwalając pokiwał głową.

– Znamy pańskie nazwisko oraz reputację i musimy panu wyznać, że wcześniej wiązaliśmy je z pewnym Francuzem, naszym wrogiem, a odpowiedzialność za pańskie bohaterskie wyczyny przypisywaliśmy właśnie jemu.

– Tak, wiem o tym. Jego niesamowite podobieństwo do mnie często sprowadzało na niego kłopoty.

– Dżentelmenie, wcale nie zamierzam z tego powodu protestować. Pańskie nazwisko jest dla nas najlepszą gwarancją. Może pan dysponować naszymi ciałami i duszami. Czyż nie tak, Pieter?

– Tak – odpowiedział drugi Bur. – Ten dżentelmen nie musiał nas zabijać. Wystarczyło, żeby wyjawiał swe nazwisko.

– Dobrze, dobrze. Idźmy dalej – przerwał zniecierpliwiony buszrendżer. – Słyszysz mnie, Jamesie Willis? Znalazłem tam, w twojej miłej kompanii, Williama Harrissona, mojego byłego bosmana, podniesionego do godności zastępcy kapitana. William bez kłopotu przełamał moje ostatnie wątpliwości. Jego przykład i twoje rady wkrótce uczyniły ze mnie skończonego łotra. Nasze towarzystwo rozpadło się z powodu jednego z tych wydarzeń, które tak fatalnie wtrącają się w życie korsarzy. Jedni zostali zamordowani po zawziętej walce z marynarzami z krążownika, inni przykładowie zacamowali na końcu sznura, ostatni wreszcie zostali wywiezieni na Tasmanię¹⁰. Udało mi się stamtąd zbiec i musiałem imać się wszystkich zawodów, wyjąwszy te dobre. Z pirata zostałem rzeźmieszkim na kupieckich szlakach. Przez kilka lat byłem postrachem australijskich górników, a złapany przez kolonialną policję, odnalazłem ciebie pośród skazańców deportowanych do Hobart

⁷ *Kliper* – żaglowiec o smukłym kadłubie i bardzo wysokich masztach, pozwalających znacznie zwiększyć powierzchnię ozagłowania; od połowy XIX wieku używany jako szybki statek handlowy do przewozu herbaty, jedwabiu i opium; najszybsze klipry osiągały prędkość 22 węzłów (czyli 22 mil morskich na godzinę).

⁸ *Cieśnina Torresa* – cieśnina pomiędzy Australią i Nową Gwineą.

⁹ *Buszrendżerzy* (ang. bushrangers) – taką nazwę nadano w Australii złoczyńcom, którzy jeszcze w dzisiejszych czasach tworzą straszliwe stowarzyszenie związane z celu obrabowywania górników; zajrzyjcie w tej kwestii do mego utworu noszącego tytuł *Piraci złotodajnych pól* [przypis L. Boussearda].

¹⁰ *Tasmania* – wyspa leżąca u południowo-wschodnich wybrzeży Australii.

Town¹¹. Ludzie naszego pokroju nie potrafili długo przebywać pod różgami dozorców. Po-
stanowiliśmy, że uciekniemy. Ty byłeś duszą spisku. Wszystko było gotowe. Mieliśmy być
wolni. Wtedy zadenuncjował nas jakiś nędznik. Ja otrzymałem pięćdziesiąt uderzeń ba-
tem. Chyba musiałem mieć duszę przybitą kołkami do ciała, że nie umarłem, chociaż kat
zupełnie mnie nie oszczędzał. Dlatego ilekroć straszny rzemień, wkrótce cały zabarwiony
na czerwono, wrywał strzepy mego ciała, przysięgałem sobie, że odnajdę niktzemnika,
który ponownie pogrążył mnie w piekle ciężkiego więzienia i sprawił, że musiałem znosić
okrutne tortury. Zdrajca został przeniesiony w inne miejsce na wyspie, a nieco później
ułaskawiony. Taka podwójna łaska w ewidentny sposób wskazała go jego ofiarom. Te dwa
lata, jakie trwała moja niewola, przetrwałem jedynie dzięki temu, że cały czas żyłem ze-
mstą. Wreszcie znów udało mi się uciec. Powtarzam, było bardzo trudno z moją posturą
i przyzwyczajeniami żyć w tej klatce dla dzikich zwierząt. Przemierzyłem we wszystkich
kierunkach Australię, wszędzie sięjąc strach i szukając mego wroga z niesłychaną upo-
rczywością, jaką wzbudzała we mnie nienasycona nienawiść. Były to daremne wysiłki. Nie
udało mi się dopaść łotra. Upłynęły lata, powróciłem do Europy, gdzie do głębi przeko-
pałem zbiorowisko ludzi wyklętych ze społeczeństwa. Nic. Pojechałem na południe afry-
kańskiego kontynentu, ale moje zaciekle poszukiwania nie przyniosły żadnego sukcesu.
Straciłem nadzieję i wiarę w tę uciążliwą walkę, mając nadzieję, że kanalia wreszcie odda
duszę diabłu, jego szefowi, kiedy odnalazłem jego ślad w naszej Kolonii Przylądkowej¹².
Przynaję się, moje zaskoczenie było niewyobrażalne, chociaż niełatwo mnie poruszyć,
kiedy rozpoznałem go pod przebraniem protestanckiego kaznodziei. Nie było mowy o po-
myłce. Mówiący przez nos niegodziwiec szerzący ewangelię pośród Murzynów w Griqua-
land West¹³ był na pewno moim starym towarzyszem z ciężkiego więzienia, zdrajcą, któ-
ry mnie sprzedał, czyli Jamesem Willisem.

– Łaski...! Łaski...! – bełkotał nędznik, przerażony jak nigdy do tej pory.

Niewzruszony buszrendżer mówił dalej, nie okazując żadnych emocji, jedynie w prze-
jmującym sposób akcentując niektóre słowa.

– Tak, umrzesz... powoli... sam jeden... z pragnienia... głodu... Insekty będą dziu-
rawić twoją skórę... Robaki pożrą cię żywcem... Słońce wypali ci oczy... ugotuje ci mózg
w czaszce... Będziesz wołał, ale na próżno, żeby przyszła zbyt spóźniona śmierć. Jamesie
Willis, czy wiesz, jak słoń mści się na krokodylu, swym zawziętym wrogu, niedającym mu
żadnego wytchnienia? Chwyta go trąbą, unosi w odosobnione miejsce i mocno osadza w wi-
dłach drzewa, między niebem a ziemią... Potem spokojnie odchodzi i pozwala mu zginąć.
Dla ciebie zarezerwowałem takie same tortury.

Po tych słowach bandyta wziął długi pas z czerwonej wełny, który miał owinięty wokół
bioder, rozdarł go na trzy kawałki i powiedział do Cornelisa:

– Złap tego niegodziwca, ale go za mocno nie ściskaj. Uważaj, żeby cię nie podrapał
pazurami i nie pogryzł, bo to jadowite zwierzę!

¹¹ *Hobart Town* (obecnie Hobart) – miasto w Australii, w południowo-wschodniej części Tasmanii, u ujścia rzeki Derwent do Morza Tasmańskiego, założone w 1804 roku jako kolonia karna; największe miasto i port morski Tasmanii, ośrodek przemysłowy, kulturalny i turystyczny.

¹² *Kolonia Przylądkowa* – brytyjska kolonia (wcześniej holenderska o nazwie Cap, Przylądek – i takiej nazwy używa L. Bousсенard) w południowej Afryce, istniejąca z przerwą w latach 1806-1910; po czym zmieniono jej nazwę na Kraj Przylądkowy, gdy utworzono brytyjskie dominium – Związek Południowej Afryki.

¹³ *Griqualand West* – obszar w centralnej części Afryki Południowej, w 1873 roku uznany za brytyjską kolonię, a w 1880 roku przyłączony do brytyjskiej Kolonii Przylądkowej.